Zwierciadło.

„Zwierciadło“ wychodzi co miesiąc, jako bezpłatny dodatek do „Wiarusa Polskiego“. Prenumeratę, ktora wynosi 60 fen. kwartalnie, przyjmują tylko ajenci i Księgarnia „Wiar. Polsk.“ w Bochum, Maltheserstr. 17a. Cena pojedyńczego numeru wynosi 30 fen.

Prawda w oczy kole.

„Wiarus Polski“ wychodzi trzy razy tygodniowo z bezpłatnym tygodniowym dodatkiem religijnym pod tyt.: „Nauka Katolicka“ i z miesięcznikiem „Zwierciadło“. Prenumerta na poczcie wynosi 1 m. 50 fen. kwart. a z odnoszeniem do domu 1 m. 75 fen.

Nr. 7. Bochum, w lipcu 1896. Rok 4.

Oddanie się Bogu.

Nie chcę się więcej sprzeciwiać Twej woli,
Panie! z pokorą Tobie się oddaję,
A chociaż serce tak krwawo zaboli,
W boleściach serca Twą dobroć wyznaję.

Nie wiem, dla czego nawiedzasz mą duszę,
Serce i ciało strapieniem, chorobą;
Lecz to wiem dobrze, że cierpieć tu muszę,
Abym przez boleść połączył się z Tobą.

Nie wiem, dla czego, lecz wiem doskonale,
Ze ojcem jesteś, że kochasz, że zbawiasz,
A wierząc mocno, nie troszczę się wcale,
Czy do mnie szczęściem, czy krzyżem przemawiasz.

Chcesz, bym z szczerością, wiarą i ochotą
Ciągnął to życie, ciężko jakby w pługu,
Chcesz, bym cierpieniem, miłością, prostotą
Z przewinień moich wypłacił się długu.

Jeżli mnie karzesz, ach, wiem, żem zasłużył.
Karz, pokąd zechcesz, lecz oszczędź na wieki,
A choćbyś życia pielgrzymstwo przedłużył,
To racz przedłużyć i łaskę opieki.

Choć się już wszystkie nadzieje rozbiły,
A urok życia jak mgła się rozpłynął,
O Panie, wesprzyj omdlałe już siły,
Abym w tej walce nędznie nie zaginął.

Lecz jeżli cierpię nie za przewinienia.
Łączę mą boleść z zasługą Twej męki,
A krzyż mój, Panie, jak krzyż poświęcenia
Przyjmuję wdzięcznie z Ojca mego ręki.

Pierwiosnki.

Dziewczę pierwiosnki zbierało,
Wesołe piosnki śpiewało,
A głos jej płynąc po rosie,
W dalekim ginął rozgłosie.

Śpiewała o młodym maju,
Co się przechadza po gaju;
Jak zima przed nim ucieka,
A on jej grozi z daleka.
Rozrzuca jasność i kwiecie
I tak króluje na świecie.
Spiewała o tej młodzieży,
Co się dziś bawi w żołnierzy;
Jak ją widziała po błoniu
Przelatującą na koniu.
Za co się bije, to nie wie,
Lecz dobrze życzy jej w śpiewie,
A dalej o Matce Boskiej,
Co się zjawiła wśród wioski
I ludek ciemny poucza;
Co mu najbardziej dokucza;
I kto dla niego jest wrogiem,
I kto odpowie przed Bogiem.
Spiewała dalej, że z czasem
Stanie lud cały pod lasem,
I pożałuje te dziatki,
Co giną jak ścięte kwiatki,
Jako pierwiosnki narodu,
Zawcześnie zeszłe wśród lodu;
Lecz przecie śniegi roztają,
Sioła się kwieciem umają
I lud jak ze snu zbudzony,
Stanie dla kraju obrony.
I w wielką zebrany chmarę
Pociągnie za kraj i wiarę.

Kiedy tak śpiewa, z za krzaków
Wypada sotnia kozaków,
I woła oficer dziki:
„Dziewczyno, gdzie buntowniki?
Pokaż nam drogę dziewczyno,
Niech te psy marnie wyginą!“
„Bóg cię ukarze Moskalu —
Odpowie dziewczyna w żalu —
Ześ na krew ludzką tak chciwy,
Krwią zlewasz spokojne niwy

I smutne kładziesz pokosy
Zabitych na leśne wrzosy...
Ja nie wiem, co to jedni,
Lecz znałam w wiosce sąsiedniej
Matki okryte żałobą.
Więc ich nie zdradzę przed tobą!“

Słysząc to starszy z siepaczy,
Dobył janczarki kozaczej
I kulę posłał jej z dala,
Odpowiedź godną Moskala.

A twarz dziewczyny pobladła,
U stóp leszczyny upadła...
Krwią się pierwiosnki oblały,
Na ustach piosnki śpiewały.

Wet za wet,

czyli

Urząd krościeniecki w beczce.

Komedya w 3 aktach.

(Ciąg dalszy.)

Akt drugi.

Scena I.

Kancelarya burmistrza (na stole papier, kałamarz i pióro). Wchodzi burmistrz z Koczubowskim.

B u r m i s t r z. Służę panu, wole uszy.

K o c z u b o w s k i. Bez tych komplementów! więc jak powiedziałem łaskawco, chciałbym na jutro mieć sarnią pieczeń, bo z namiestnikiem przybędą moi przyjaciele ze Lwowa.

B u r m i s t r z. A to, wole uszy, nie zła rzecz; i ja lubię sarninę.

K o c z u b o w s k i. Otóż, miałem właśnie pana burmistrza na nią poprosić.

B u r m i s t r z. Będę, wole uszy, będę, łaskawy panie (całuje go).

K o c z u b o w s k i. Ale widzisz łaskawco, jeszcze tej pieczeni nie mam.

B u r m i s t r z (przeciąga). Jeszcze nie — to źle — jakże ją dostać?

K o c z u b o w s k i. Już w tem moja głowa, tylko mi wystaw łaskawco paszport! Po drugiej stronie granicy mam przyjaciół wiele, umówiłem się z jednym na dzisiejszą noc na upatrzonego, to będzie!

B u r m i s t r z. Doprawdy będzie?

K o c z u b o w s k i. Jak mamę kocham! Co widzę, to jakby moje!

B u r m i s t r z. Ależ łaskawco, masz — zaraz — sarnia pieczeń — to nie żarty, nie twarda wołowina — a jak to smakuje! — gdybyś nie miał panie kapustki do niej, ja posłużę, słowo honoru, wole uszy, że posłużę! (mówiąc to powoli podpisał i położył pieczęć na paszport, który mu Koczubowski wręczył).

K o c z u b o w s k i. Serdecznie dziękuję! a więc do widzenia jutro! (żegna).

B u r m i s t r z (idzie kilka kroków za nim). Na sarninkę wole uszy, na sarninkę. A to dobra dusza (zaciera ręce). —

Scena II.

B u r m i s t r z sam.

B u r m i s t r z. A to przecież raz odmiana wole uszy! Szczęście (ręce zaciera). No, będzie smakowało — nie zawsze się człowiekowi tak darzy, wole uszy! Mać się biedy dosyć. — Tu żydowi paszport wydać a po co mu za granicę? żeby kraść wole uszy! a tedy zjedzie ten, co mu krowę porwali, wole uszy, ten, że konia wyprowadzili, a ty burmistrzu, wole uszy, zawsze patrz rady, i pociesz, i przyrzekaj i zbywaj wole uszy, żeby się pozbyć, a sam pewnie wole uszy, będę łaził po strychach, po komorach i zaglądał co czyje, a co nie czyje wole uszy u żydostwa! Albo temu się zachciewa. — To chałupy wole uszy nadbudować — a ty burmistrzu, mierz wole uszy, czy nie zadaleko, czy jak, i pisz wole uszy raporta — i wszystko burmistrz! Pewnie gdyby księżyc raz nie o swym czasie zaszedł, od burmistrza żądaliby wole uszy raportu! (Porywa jeden list) — albo ten przyjazd namiestnika! Pewnie tam myślą, że burmistrz wole uszy do wszystkiego! Tu każ zamieść, każ wybielić, wole uszy, (chodzi niecierpliwie) i każ oświecić wole uszy — jakby moje żydy w Krościenku, za przeproszeniem, samemi łojówkami kichali, wole uszy! Ale niechno będzie trzeba wole uszy pomódz; Gieruszka niech lata, niech się dla dobra publicznego taj trochę zmęczy, przykicha wole uszy, ja wszystkiego nie mogę wole uszy zrobić! — (wysapał się.) — Ale jeszcze rok! Jeden roczek, wole uszy, trzysta sześćdziesiąt pięć dni, a godzin wiele? (medytuje.) Ale to wole uszy trudny rachunek — dosyć, że za tyle godzin pan burmistrz — podziękuje. Pięćdziesiąt lat służby minie i to cięższej służby, wole uszy, i przyjdzie „Pension mit voll Gehalt“ z całą kompetencyą (uśmiecha się szczęśliwie) orderek wole uszy! tu (trzyma się za dziurkę od surduta) tu będzie wisiał, za moje zasługi, order wole uszy z pętlicą! Jednego jeszczebym sobie życzył wole uszy! Żeby tak tytulik wole uszy dostać! Jak to pięknie: dzień dobry panie hofrat — upadam do nóg panie staatsrat wole uszy! — Żeby się tego doczekać. Tam u góry powinni uwzględnić wole uszy moje zasługi; — 49 lat burmistrzować, to nie lada rzecz wole uszy! — Hofrat! (milej) hofrat, miły głosiku, żeby się to ziściło, wole uszy. Byleby tylko tego namiestnika się pozbyć — bo to i powitanie i wole uszy mowa; (chodzi) kto ją będzie miał (wska-

zuje na siebie) a mam napisaną — wole uszy — zamaszystą, jak się mówi! juści ja wole uszy burmistrz, żeby jeno Gieruszka armatki przysposobił a się wole uszy nie upił — tedy jak huknie — ja stanę w środek. —

Scena III.

Gieruszka (wchodzi i uderza w bęben).

Burmistrz (przestraszony kręci się). Czy już wole uszy, nadjechał tak prędko, nie umiem nic wole uszy! (obraca się) A to ten bencwał, wole uszy, cóż tu za wrzask robią na starym kotle?

Gieruszka (stał po wojskowemu, przystępując dwa kroki, laskę trzyma wysoko u prawego ucha). Prezentuję się wielmożnemu panu burmistrzowi dwa a dwa cztery, jako po całem mieście rozniosłem dwa a dwa cztery, wiadomość o jutrzejszym festynie. Ale odkażemy się jutro jakby nic, dwa a dwa cztery.

Burmistrz. Nakaz wydałeś, żeby, wole uszy, świece pozapalali?

Gieruszka. Jak się rzekło.

Burmistrz. I w ściekach pozamiatali, wole uszy?

Gieruszka. Wedle rozkazu dwa a dwa cztery.

Burmistrz. Ale trzepiesz wole uszy swoje dwa a dwa cztery, nie wiem po jakie trzy grosze!

Gieruszka. Ady się tylko tak mówi, toć i pan burmistrz...

Burmistrz. Milcz wole uszy! Już wiem, że znowu głupstwo byłbyś palnął, (wyszczerzając się z niego) dwa a dwa cztery, — (do publ.) co mu się uwidziało!

Gieruszka (po cichu do publ.) wole uszy! (głośno) Niech i tak będzie. Już my tak będziem żyli: gdzie zaś burmistrz, tam sługa miejski — ale — chciałem powiedzieć, że jutro się jeszcze czemś odkażemy, dwa a dwa cztery.

Burmistrz. Może sobie dałeś buty wyłatać, bo ci tam wole uszy blizko palce wyzierają.

Gieruszka. Nie czemś lepszem: (tajemniczo z tryumfem) całą bandę przemytników dziś schwycimy, dwa a dwa cztery, i jutro jaśnie wielmożnemu namiestnikowi, dwa a dwa cztery podarujem!

Burmistrz (odskoczył). Upił się wole uszy na białym dniu! Zwaryował wole uszy! (ociera sobie pot. — Gieruszka stoi nieporuszony, pewien siebie, uśmiecha się.) Ady otwórz wole uszy swą mądrą buzię, cóż tak patrzysz?

Gieruszka (zawsze spokojny). I order będzie, wysoki order, dwa a dwa cztery, dla pana burmistrza i dla Gieruszki i wdzięczność gotówką dwa a dwa cztery. (Udaje liczenie pieniędzy.) I to za przemytników! a jakich! samych wysokich urzędników dwa a dwa cztery!

Burmistrz (na boku). Czy zwaryował? (ostróżnie przystępuje, Gieruszka stoi cicho, uśmiecha się. Burmistrz kładzie najprzód rękę na głowie — tedy mu głowę wykręca, — patrzy słodko i ostróżnie do niego:) Gieruszka, poznajesz ty mnie, wole uszy?

Gieruszka. Co zaś się panu burmistrzowi zdaje?

Burmistrz (jeszcze słodko). Powiedz prawdę, wole uszy, upiłeś się!

Gieruszka (zły). Nie, dwa a dwa cztery.

Burmistrz. Ale cóż gadasz o przemytnikach, wole uszy, i orderach, i nagrodach?...

Gieruszka. Tak jest, mówię, bo prawda; przemytnicy dwa a dwa cztery przesiadują u Mośka, i dziś właśnie czas, żeby ich podsłuchać i pochwytać, bo głupi żyd dwa a dwa cztery się obawia, i tedy cała nagroda na nas spadnie dwa a dwa cztery!

Burmistrz (wolno). Mówisz, że przesiadują u Mośka i podsłuchać i schwytać, wole uszy, i to wszystko prawda?

Gieruszka. Prawda, dwa a dwa cztery! Pójdziemy we dwójkę, bo gdzie dwa a dwa cztery burmistrz, tam sługa miejski, a gdzie sługa miejski dwa a dwa cztery, tam burmistrz, jeden drugiego musi wspierać!

Burmistrz. Ale czy ich tam wole uszy nie wielu?

Gieruszka. Będzie ze czterech, ale dwa a dwa cztery, już, już my im podołamy, o pewnie tylko podsłuchać trzeba, tedy telegrafujmy po huzarów dwa a dwa cztery (klaszcze z radości w ręce).

Burmistrz (jeszcze niepewny). Jak to będzie wole uszy?

Gieruszka. Mosiek nas ukryje dwa a dwa cztery i tak będzie.

Burmistrz. Ale cóż to za ludzie, te przemytniki, wole uszy.

Gieruszka. Swiat się przewrócił, dwa a dwa cztery, bo sami urzędnicy! I wiedzą o innych! Całe furgony tego paskudztwa, dwa a dwa cztery.

Burmistrz. Powiedz, kto wole uszy!

Gieruszka. Wszyscy dwa a dwa cztery i najpierwszy pan (z przyciskiem) Koczubowski — ten stary kawaler wymuskany!

Burmistrz. Łżesz, wole uszy!

Gieruszka. Nie, co nie to nie! Mosiek mówił, że on najwięcej szwarcuje!

Burmistrz (chodzi). On? — wole uszy — on? A — był po paszport. —

Gieruszka. Co — i pan dał dwa a dwa cztery!

Burmistrz. I ałem, czemu nie, wole uszy! Chciał ubić sarnę na jutro?

Gieruszka. Ładna sarna dwa a dwa cztery! Panie burmistrzu, oszukał pana!

Burmistrz (w strachu). Co począć?

Gieruszka. Złowić ich, dziś jeszcze, nim uciekną wziąć order i pieniądze.

Burmistrz (przestraszony). A — źle — państwo wole uszy w niebezpieczeństwie, a nuż udałoby się mnie — nie, nam obom wole uszy — wykryć takie łotrostwa wole uszy, zostałbym staatsratem! heimsratem! Order...

Gieruszka. No, o tem ci mowa dwa a dwa cztery! I prezent (liczy w lewą rękę).

Burmistrz. A kiedy tam czas?

Gieruszka. Zaraz, bo się i tak spóźniło kiedy pan burmistrz nie chciał dwa a dwa cztery wierzyć!

Burmistrz (bardzo poważnie). Idź, wierny sługo! ja za tobą pospieszę.

Gieruszka (na boku). A cóż mu się stało! Jakby już był dwa a dwa cztery heimsratem! (Odchodzi.)

Scena IV.

Burmistrz sam.

Burmistrz (sam chodzi wielkim krokiem po scenie, — staje). Czuję się innym człowiekiem! Jakby powiew hofrata, staatsrata, mnie wole uszy z daleka dochodził. — Czuje się wielkim — wole uszy! — Co zdziałał Stieber — co tajna policya! Nic — nic do tego co ja, burmistrz z Krościenka! Podwoje dziejów otwierają się przedemną! — (Chodzi.) Doprawdy, wole uszy, nie byłbym wierzył sobie samemu, że tak pięknie się wyrażę: Podwoje dziejów otwierają się, wole uszy, przedemną! Teraz wiem, że jest wielkość, że Hamlet mógł powiedzieć: być wole uszy, albo nie być! Ja będę, chcę być, wole uszy, niezawodnie będę: staatsratem z orderem wole uszy! (Sięga po zardzewiałą szablę) Pójdź tu towarzyszko nędznego urzędowania — stara szablo, wole uszy! Postrachu głupich żydów, — dziś wole uszy sojusznico w wielkiem dziele, wole uszy (przypasuje ją). — Duch bohaterów we mnie wchodzi; podnosi mnie wole uszy! Mógłbym się zdobyć na monolog jak w dramacie. — Ale czas szybkim krokiem dobiega mety, wole uszy! — I to mi się pięknie udało! — Dobiega wole uszy mety, jak to dzielnie! — No, żegnaj mię stara kancelaryo! Burmistrz wychodzi — Staatsrat wróci! (wychodzi).

(Dokończenie nastąpi.)

Rozkaz wodza.

I dziecię samo jedno wśród płonącej nawy,
Stoi na opuszczonym przez mężów pokładzie.
Gdzie spojrzy, kłęby dymu albo płomień krwawy,
Albo stosy poległych oku na zawadzie.
Samo — wśród wichrów świstu, wśród burzy zamętu,
Stoi śmiało, chwyciwszy twardy maszt w objęcia,
A wały szalejące po bokach okrętu
Cichną... słabną... zdumiałe odwagą dziecięcia.
Cóż jemu śmierć, lub życie? — Czy zginąć od razu,
Czy w powolnych męczarniach młode dni zakończyć?
On żołnierz, a bez wodza, bez ojca rozkazu,
Nie wolno mu z ginącym statkiem się rozłączyć,
Lecz któż wyda ten rozkaz? — Zielonawe wody,
Co rannych i zabitych w jednym łączą grobie,
Porwały twego wodza, bohaterze młody,
Już z ich głębin głos ojca nie odpowie tobie!
— „Ojcze!“ — woła chłopczyna w długą chwilę potem —
„Ojcze — rzekł — czym nie spełnił jeszcze twojej woli?
A działa, rozpalone powtarzanym grzmotem,
Zahuczały w odpowiedź rozpacznie... powoli...
„Ojcze!“ — wytężył piersi ostatnim wykrzykiem,
„Ojcze! jam tu sam jeden, okręt płonie w koło!“
Lecz jak wąż migający jaskrawym językiem,
Ogień dymem i żarem straszy młode czoło.
Długie włosy chłopczyny na wiatry puszczone,
Jeszcze mu po ramionach spływają w pierścienie,
Twarz spokojna, a oczy choć blaskiem olśnione,
Spoglądają bez trwogi w syczące płomienie.
One świszczą i grożą; po masztach, po linach,
Po rozpostartych żaglach na pokład zstępują.
Wre ołów i żelazo, miedź kipi w szczelinach,
Nawet z zwycięzkiej flagi iskry ulatują...
Chłopczyna jeszcze stoi... Chwila ciszy... nagle
Huk się rozległ okropny, jękło morskie łono,
A belki, pręty, trzaski, spopielone żagle,
Pokryły je szeroko żałobną zasłoną,
Jak gdyby uczcić chciały przestrzeń mętnej wody,
Pod którą z chwałą poległ ten bohater młody.

Podsłuchane.

W koszarach.

Podoficer do żołnierza jednorocznego: Czem pan jesteś w cywilnym zawodzie?

Jednoroczniak: Doktorem filozofii.

Podoficer: Głupia odpowiedź! Taka choroba wcale nie istnieje...

Dobrzy rachmistrze.

— Dla czego żydzi są dobrymi rachmistrzami?

— Bo oni od stworzenia świata wciąż rachują.

Jeszcze pasie...

Pensyonarka: Czy prawda, że pan profesor jest synem ubogiego pastucha?

Profesor: Naturalnie — jeszcze do tej pory sam gąski pasę.

Za druk, nakład i redakcyę odpowiedzialny: Antoni Brejski w Bochum. — Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Wiarusa Polskiego“ w Bochum.